

Grzegorz CZERWICKI Renata CZERWICKA

Nie  
jesteś

SKAZANY

To historia, w którą wciąż  
trudno mi uwierzyć i przez którą  
wciąż mam ciary. Polecam całym  
sercem i z całej mocy!

Tomasz Wolny, dziennikarz

RTCK

Nie  
jesteś

**Skazany**



**Grzegorz CZERWICKI**

**Renata CZERWICKA**

*Nie  
jesteś*

**Skazany**

RTCK

Nie jesteś Skazany  
Grzegorz Czerwicki i Renata Czerwicka dla RTCK

Autorzy: Grzegorz Czerwicki, Renata Czerwicka  
Produkcja: RTCK  
Nowy Sącz 2020

Wydanie I  
© RTCK 2020

ISBN: 978-83-66523-18-0

Redakcja: Krystyna Sadecka  
Uwagi redakcyjne: Renata Czerwicka  
Korekta: Seiton, [www.seiton.pl](http://www.seiton.pl)  
Skład i łamanie: Barbara Wrzos, Graphito, [www.graphito.pl](http://www.graphito.pl)  
Projekt typograficzny książki: Jakub Kosakowski  
Projekt okładki: Jakub Kosakowski  
Zdjęcie okładkowe: Dorota Czoż



RTCK  
ul. Zielona 27, WSB, bud. C  
33-300 Nowy Sącz  
tel. 531 009 119  
[sklep@rtck.pl](mailto:sklep@rtck.pl)  
[www.rtck.pl](http://www.rtck.pl)

Dołącz do społeczności ludzi, którzy chcą robić to, co kochają.  
Zapisz się na [www.rtck.pl](http://www.rtck.pl), a będziemy Cię wspierać na tej drodze,  
wysyłając wartościowe materiały!

**Every saint has a past,  
every sinner has a future...**



# Wstęp

Od dnia, w którym spotkałem Przyjaciela i zacząłem budować z Nim relację, zastanawiałem się, jak o tym wszystkim opowiedzieć... Kiedy potem w moim życiu zaczęły dziać się niezwykle rzeczy, czułem, że powinienem przekonać moich kumpli z celi, a potem innych ludzi, że ta relacja zmienia życie... Któregoś dnia, niedługo po moim wyjściu na wolność, kolega z pracy rzucił: „Napisz książkę!”. „Ja, książkę?!” – Nie mieściło mi się to w głowie. Wtedy nie miałem nawet matry... A potem spotkałem Renię, moją obecną żonę, i już wiedziałem, że teraz na serio mogę myśleć o książce.

Zastanawiałem się, jak przekazać ludziom, o co mi chodzi, a wtedy Renia powiedziała: „Nie nauczaj. Pokaż! Po prostu opowiedzmy twoją historię”.

Pisaliśmy ją ponad dwa lata.

Celowo używam słowa „pisaliśmy”, bo prawda jest taka, że gdyby nie Renia, ta książka nigdy by nie powstała. Choć jest to w całości moja historia, to pomysł, kompozycja i forma jest dziełem mojej żony. Pisaliśmy ją razem.

To książka o miłości. Takiej, która ratuje życie. Dosłownie.

To historia chłopaka, który stracił rodzinę, zgubił sens życia i nie chciał już dłużej żyć. I w najciemniejszym miejscu znalazł Światło, które wyrzuciło jego życie do góry nogami.

Mam nadzieję, że znajdziesz w tej książce trochę tego samego Światła.



Jeśli książka Ci się spodoba albo pojawią Ci się w głowie jakieś pytania, będzie super, gdy odwiedzisz mnie na Facebooku (fb/Grzegorz Czerwicki) i zostawisz komentarz pod którymś postem o książce. Z radością odpiszę :)

Grzechu

*Mojemu Przyjacielowi, Rodzicom oraz wszystkim,  
którzy mi zaufali i wspierają mnie w codzienności*

Grzechu

*Naszemu synkowi, Kubie, aby zawsze wiedział,  
że przyszedł na ten świat z miłości  
i że jego tata jest zwycięzcą, a nie przegranym*

Renata

## Słownik (\*)

<b>bardach</b>	WC
<b>bolek</b>	zlew, umywalka
<b>buzafa</b>	grzałka / sprzęt do gotowania wody (nielegalny, zrobiony z różnych innych sprzętów, np. z zyletek)
<b>dociąg</b>	strażnik doprowadzający do celi
<b>dotek</b>	areszt policyjny
<b>dycha</b>	rozbój, np. szybka kradzież na ulicy
<b>dzięciot</b>	młotek do uderzania w kraty, aby robić pukankę
<b>fikoł</b>	krzesło
<b>gier</b>	muszla klozetowa
<b>giet</b>	działka amfetaminy lub innego narkotyku, 1 gram
<b>kadzienka</b>	ubranie więziennicze w kolorze zielonkawo-brunatnym, spodnie i bluzo-kurtka
<b>kalifaktor</b>	więzień rozwołujący jedzenie po celach
<b>kipisz</b>	niezapowiedziana kontrola w celi, przeszukiwanie każdego kąta, po którym zazwyczaj celi wygląda jak po przejściu tornado
<b>klapa</b>	drzwi celi
<b>kojo</b>	łóżko / dolne poślanie w piętrowym łóżku
<b>lipo</b>	okno
<b>mandzur</b>	poślanie więźnia: materac, koc, poduszka
<b>Montelupich</b>	nazwa ulicy w Krakowie, na której znajduje się areszt śledczy
<b>N-ka</b>	celi dla więźniów szczególnie niebezpiecznych
<b>peretka</b>	miska
<b>peronka</b>	korytarz więzienny
<b>pękanie klapy</b>	moment, w którym otwierają się drzwi celi

<b>półta</b>	środkowe posłanie na 3-poziomym łóżku
<b>półotworek/R2</b>	zakład karny typu II, gdzie w ciągu dnia nie jest się zamkniętym w celi, tylko można się poruszać w miarę swobodnie po zakładzie; dla recydywistów
<b>P2</b>	to samo co R2, tylko dla skazanych po raz pierwszy
<b>pod celą / na celi</b>	w celi
<b>pukanka</b>	uderzanie młotkiem w kraty celi, aby sprawdzić, czy kraty nie są przepiłowane
<b>sankcja</b>	areszt śledczy, do którego trafia się jeszcze przed wyrokiem
<b>sieczkarnik</b>	rodzaj poczekalni / punktu postojowego między jednym a drugim punktem / miejscem w więzieniu
<b>skun</b>	marihuana
<b>speed</b>	amfetamina
<b>szkiełko</b>	telewizor
<b>trumna</b>	drewniane łóżko w celi na dołku
<b>trzepak</b>	gazeta pornograficzna





## Przyjaciel

Trafiłem na siedemnastoosobową celę. SIEDEMNASTO-OSOBOWĄ. Jeden bardach, jeden boleć\*. Siedemnastu chłopca. To była moja druga odsiadka. Wyrok: sześć lat.

Pod celą nie mówi się o uczuciach. O rodzinie też niewiele. Chłopaki nie płaczą czy jakoś tak... Zakumpłowałem się z jednym ziomkiem, graliśmy razem w PlayStation. Z nim rozmawiałem o tym, o czym się nie rozmawia. O marzeniach, nadziei, o szukaniu miłości i przyjaźni. Bo coraz silniej do mnie docierało, że szukałem...



Mój wspaniały plan ogarnięcia życia po pierwszej odsiadce runął już pierwszego dnia wolności, kiedy poszedłem się upić. Niczym nie różniłem się od ogromnej większości wychodzących, którzy idą oblać wyjście na wolność. Choć snułem plany i marzenia, co zrobię, jak wyjdę, i ile się zmieni, to... prostą drogą szedłem na recydywę.

Miałem znaleźć pracę, spotkać fajną kobietę i założyć rodzinę.

Miałem. Wróciłem do starych kumpli. Tych samych, którzy mnie zostawili. Zaczęły się melanże, picie i ćpanie. Poznałem dziewczynę, spędzałem u niej całe dni. Ale chyba nic poza okazjonalnym seksem nas nie łączyło. Totalny bezsens.

Miałem zerwać z przestępczością.

Miałem. Ale zaczynało mi brakować środków do życia... Za ledwie trzy miechy po wyjściu ogarniałem napady z wyższego paragrafu niż przed odsiadką, zorganizowałem sobie atrapę broni. Nie umiałem robić niczego innego, a potrzebowałem kasy na prochy i przetrwanie. Czułem się mądrzejszy i sprytniejszy niż kiedyś. Dlaczego byłem aż tak ślepy!

Miałem pomóc mamie.

Miałem... Może i mógłbym mamie jakoś pomóc, gdybym był silniejszy psychicznie. No i gdybym nie pił. Ale ślepy ślepego nie poprowadzi. Mama przypominała kobieciey szkielet obleczony skórą na chwiejnych nogach, a z naszego „mieszkania”, które odwiedziłem po wyjściu, dobywała się woń, jakiej nie czułem w najgorszych melinach... Wtedy po prostu sobie poszedłem. I zdałem sobie sprawę, że nie mam już domu. Stałem się bezdomny.

Miałem odnaleźć siostrę.

Miałem... Ja, naćpany, skacowany zbir, szukający swojej małej siostrzyczki. Chodziłem do różnych ośrodków. Czemu mi nie pomogli, nie powiedzieli, gdzie ją znaleźć? Trudno im się dziwić.

Miałem dać sobie radę sam.

Miałem. Szło mi tak dobrze, że coraz częściej nocowałem po śmietnikach i klatkach schodowych. (Do dziś mam nawyk, że nie zamykam na klucz schowków na śmieci, gdyby ktoś potrzebował tam przenocować). W brudnych ciuchach, wiecznie na kacu, włóczyłem się bez celu. Jak mucha, która co rusz przysiada na jakimś gównie.

Jednego wieczoru sporo popiłem. Tego dnia próbowałem wziąć w banku kredyt, który miał rozwiązać wszystkie moje problemy, ale nie udało się. Byłem załamany, tym razem zapijałem konkretny smutek. Wracałem z melanżu u znajomych. To była późna jesień, dość zimno. Ciemno i ponuro. Nachlany, na chwiejnych nogach wsiadłem do nocnego autobusu z zamiarem pojechania do dawnego domu, na melinę, bo nie miałem ani siły, ani ochoty szukać czegoś innego. Ciepło autobusu przyjemnie kołysało. Totalnie wyczerpany zasnąłem oparty o okno.

Pomyliłem linie i ocknąłem się w miejscu, którego nie znałem. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Wywlokłem się z wnętrza autobusu i usiadłem na przystanku. Rozglądałem się dookoła, starałem się sobie coś przypomnieć, cokolwiek, znaleźć choć jeden znajomy punkt. Nic.

Poczułem suchość w gardle. Bardzo powoli trzeźwiałem. Wielość używek sponiewierała mnie fizycznie, ale ani na



moment nie straciłem świadomości. Było mi cholernie zimno, trząsałem się jak jakiś świr. Niczego nie poznawałem. Zbyt naćpany, aby iść dalej, i za trzeźwy, aby nie wiedzieć, co się dzieje, w głowie miałem mętlik. Totalny mętlik. Ostatnie godziny, dni, tygodnie, miesiące zlały mi się w jedno wspomnienie jak przerażająca, bulgocząca breja. Zamazane twarze znajomych, dziewczyn i okradanych ludzi mieszały się ze wspomnieniami mamy i siostry...

Nagle coś we mnie pękło. Rozpłakałem się. I siedziałem tak, zarzygany, cuchnący, zapity, w obłądnie szukając choć jednej pozytywnej myśli, czegokolwiek, czego mógłbym się ucześcić. Skulony jak pies wylem. Dotarło do mnie, że wszystko straciłem. Niczego już nie miałem. Byłem nikim. Niespodziewanie przypomniała mi się ciepła i sucha cela. Zakład karny pojawił się w mojej głowie jak w miarę bezpieczna przystań. W tym momencie chciałem tam wrócić!

I wtedy spojrzałem w górę.

– To się musi zmienić! – krzyknąłem, ile sił w płucach. – Jeśli istniejeś, Boże mojej babci, pomóż mi, błagam!

Wiedziałem, że moja przyszłość nie jawiła się zbyt interesująco. Prawdopodobnie albo jakieś małolaty zatłuką mnie na ulicy, albo zdechnę gdzieś w rowie, albo zaćpam się na śmierć. Na tym etapie nie było już dla mnie innych opcji. Dziś wiem, że to, co wtedy powiedziałem, to, co wykrzyczałem w kierunku nieba, to była moja pierwsza świadoma modlitwa w życiu. Od tamtej nocy było mi już wszystko jedno. Cokolwiek się działo, nie mogło być gorsze niż to, co było. Kradłem i napadałem w poczucia całkowitego bezsensu własnego życia.

Minął miesiąc.

Po udanym napadzie z bronią pobiegłem do znajomego na kwadrat, przeliczyć hajs i fanty. Jego wysłałem po alkohol i dragi. Musiałem się zrelaksować, bo serce nie przestawało mi walić. Myślami nadal byłem w tym napadzie, analizując, dlaczego znalazłem tak mało pieniędzy.

Młody wrócił, odpaliliśmy FIFĘ na PlayStation, towar i gadaliśmy o skoku. Wrzucałem na luz.

Punktualnie o szóstej rano obudził mnie łomot do drzwi. Zjarany jak cholera pomyślałem, że albo jakaś ekipa, z którą mamy na pieńku, robi nam wjazd na chatę, albo kryminalni. Wciągnąłem spodnie i z rozpędu miałem wyskakiwać oknem. W ostatniej chwili oprzytomniałem, przypominając sobie, że kumpel mieszka w wieżowcu na przedostatnim piętrze, więc pobiegłem do pokoju obok, gdzie jakiś koleś wynajmował pokój z siostrą, i zamknąłem się. Przekręcałem klucz dokładnie w momencie, gdy rozległ się trzask wyważanych drzwi.

– Na ziemię! Zamknąć mordy i nie ruszać się! – huknęli kryminalni.

O dziwo, poczułem ulgę, że to jednak nie jacyś kolesie przyszli nas rozwalić. Głośne krzyki zbliżały się do pokoju, w którym się zamknąłem.

– Otwieraj, k\*\*\*\*! – wrzasnął kryminalny, szarpiąc za klamkę.

Nie było sensu stawiać oporu. Dziewczyna z chłopakiem przerażeni siedzieli na łóżku.

Otworzyłem drzwi i moja twarz znalazła się kilka centymetrów przed lufą pistoletu. Uśmiechnąłem się (idę o zakład,

że głupio). Kryminalny wkurzył się na maksa. Nie wiedział, że ja już tak mam – w wielkim stresie zaczynam się śmiać.

– Z czego się, k\*\*\*\*\*, śmiejesz? – wrzasnął.

W tym samym momencie drugi rzucił mnie na podłogę i błyskawicznie zakuwał. Wyciągnęli mi portfel z kieszeni, zobaczyli dowód osobisty i z radosnym, wręcz triumfalnym okrzykiem dodali:

– To my cię, gnoju, po Hucie szukamy, a ty nam pod nosem siedzisz? Nie wywiniesz się...

Wychodząc z klatki, zobaczyłem przed wejściem trzy policyjne suki i przeszło mi przez myśl, że ucieczka oknem byłaby jednak pozbawiona sensu. Wrzucili nas do auta jak worki ziemniaków i zawieźli na komisariat.

Po długich przesłuchaniach przyznałem się do ostatniego napadu. Kolegę wypuścili, a u mnie zaczęły się kolejne przesłuchania. Pojawiło się kilka dodatkowych jednostek policyjnych, zastraszali mnie, żebym przyznał się do innych akcji. Wszystko trwało bardzo długo i już nawet chodziło mi po głowie, żeby zacząć gadać, bo byłem bardzo zmęczony, ale zamiast tego próbowałem się choć trochę zdrzemnąć. Oczywiście zamknięte oczy na dłużej niż dwie minuty oznaczały liścia w twarz. Myślałem, że nigdy nie odpuszczą...

W końcu odpuścili i odwieźli mnie na dołek. Nie czułem strachu, tylko cholernie chciało mi się spać. Wiedziałem, że jutro czeka mnie ciężki dzień. Dwie rzeczy nie dawały mi spokoju: „Teraz to sobie posiedzę, ciekawe, ile?” i druga: „Kto mnie wydał?”



Siedziałem więc pod celą z kolegą i rozmawiałem o tym, o czym się w więzieniu się nie rozmawia. Był recydywistą, miał przesiedziane dwadzieścia pięć lat. Imponował mi. Ateista. Znaleźliśmy wspólny język na temat tego, co Kościół robi źle. Bo według mnie, Kościół wszystko robił źle. Był dla mnie instytucją, która dostawała od mojej babci pieniądze, które – po mojemu – należały się mnie. Za dzieciaka dziadek często wysyłał mnie na mszę, i nawet dawał pieniądze na tacę, abym na pewno trafił do kościoła. Brałem pieniądze i szedłem na automaty do gier. Nawet jak chodziłem na mszę, to zawsze siedziałem na zewnątrz. Nie wchodziłem do środka, bo niby po co miałbym to robić? I tak nie wiedziałem, co tam się dzieje. Dla mnie cała ta akcja z Kościołem, Bogiem i wiarą to była jakaś bzdura wymyślona dla słabych ludzi.

Siedziałem i snułem marzenia, jak chciałbym, aby wyglądało moje życie. Umiałem właściwie marzyć tylko w sposób, który polegał na wymyślaniu przeciwieństwa tego, co znałem. Żebym miał normalną rodzinę, czyli bez wódy i awantur, za to z pełną lodówką, dom, w którym zamiast szukać na siłę problemów, szuka się rozwiązań. Żebym nie musiał martwić się o jedzenie, a po powrocie do domu z pracy miał się do kogo przytulić, uśmiechnąć się i powiedzieć: „Cześć”. I żebym wiedział, że jestem bezpieczny, a oni są bezpieczni ze mną. I jeszcze bym uwierzył, że nie wrócę już do więzienia. Te wszystkie wizje były jak fatamorgana. Ale były. Szukałem przyjaźni, nadziei i miłości. Kto, do cholery, nie szuka?!

Któregoś dnia kolega ateista zagadał:

– Grzesiek, pamiętasz, jak opowiadałeś, jak wpadłeś w amfę? Że zaproponował ci kolega i uległeś, bo myślałeś, że coś się

zmieni w twoim życiu na lepsze? Że będziesz miał pieniądze?  
A zamiast zmiany przyszła ruina.

– No. A co?

– Dużo czytasz, ale ciągle tylko kryminały i przygodówki.  
Nie za dużo tego kryminału u ciebie w życiu?

– Hmm...

– Bo wiesz... Jest jedna ciekawa książka, w której jest to, czego szukasz. Przyjaźń, miłość i nadzieja. – Zrobił dłuższą pauzę. – Gdyby ci nie spasowała, zawsze możesz odłożyć, raczej życie bardziej ci się nie posypie, co nie?

– Dawaj, co to?

– Biblia.

Popatrzyłem na niego jak na debila.

– Ty tak serio? Jaranie z wczoraj ci nie przeszło? – parsknąłem śmiechem.

Ale on się nie śmiał.

– Czytałem trzy razy. Mnie niewiele dała, ale może tobie, jak spróbujesz? Tylko wiesz, czytaj jak ciekawą książkę historyczną, tylko tyle.

Koleś trochę w życiu przeszedł, widziałem, że tym razem nie żartował. Szanowałem typa, więc nie ciągnąłem śmiechawy z tematu.

Minęło kilka dni. Długo nad tym myślałem. Te jego słowa i sposób, w jaki to wszystko mówił, wierciły mi dziurę w głowie. Kurde, Biblia? No kurde... Biblia? BIBLIA??? Przecież pomyślą, że mi odwaliło... Ale doszedłem chyba do punktu, w którym czułem, że niewiele mam już do stracenia. Z jednej strony to było tragiczne, a drugiej... jakby dające wolność.

Któregoś więc dnia zaczęłam zgreda, który chodził do kościoła i miał Biblię, czy da mi poczytać. Zwiertzył interes. Dobiliśmy targu, poszła za dwa szlugi. Ciekawa historyczna książka, polecona mi przez kumpla ateistę, która miała mówić o przyjaźni, nadziei i miłości, została przehandlowana za dwa szlugi. Całkiem spoko.

Ubiłem interes życia. Dosłownie.

Przełamam się i wziąłem się za czytanie. „Dałem radę sadze «Zmierzch», czytałem serię o Greyu, to też jakoś łyknę” – pomyślałem. Podchodziłem do niej jednak dość ostrożnie, bo widziałem już wystarczająco wielu nawiedziców, co sypiali z Biblią.

Zacząłem od Starego Testamentu. Adam i Ewa zwiedzeni przez węża i siebie nawzajem. Wszystko schrzanili... Hm, gdzie tu nadzieja? „Dalej będzie pewnie jeszcze gorzej” – pomyślałem i... nie myliłem się. Przeskoczyłem do Abła i Kaina, gdzie jeden drugiego zabił z zazdrości, choć byli braćmi! Potem przyszła kolej na króla Dawida i akcję z Uriaszem. Pożądanie, morderstwo. Doszedłem do wojen. I cały czas nie umiałem dostrzec niczego poza dołującymi wydarzeniami. Miałem dość... Poza tym co to za język w ogóle? Co w tym pozytywnego? I jeszcze te małe literki...

– To nie dla mnie, stary – przyznałem się kumpłowi. – Za dużo dziwnych akcji, jakieś ludy ciągle walczą, ciągle komuś coś nie pasi... Gdzie tu miłość i przyjaźń?

– Kurde. – Kumpel zrobił wielkie oczy. – Zapomniałem ci powiedzieć, żebyś zaczął od Nowego Testamentu. Od Nowego zacznij.

Zapomniał. Kurde.

Wróciłem do książki. Otwieram. Bohater główny: Jezus z Nazaretu. Czytam. Druga, trzecia strona... „W sumie spoko gość” – myślę. Chwilami czuję się jak w dobrej książce przygodowej. Facet pomógł to temu, to tamtemu. Jednego uzdrowił, drugiego wskrzesił. Tu rozmnożył jedzenie, a tam pogonił frajerów faryzeuszy. Przemawiał tak, że tłumy go słuchały. Zawsze wiedział, co powiedzieć i jak się zachować. Nikogo nie potępiał. Mówił o miłości tak, jak nigdzie wcześniej nie czytałem w żadnej książce. No spoko gość!

Czytałem dalej. Tak minęło wiele dni.

Po trzech tygodniach zauważyłem, że zrobiłem się jakby spokojniejszy. Mniej nerwowego rozglądania się za dragami, mniej wkurzania się na różne sprawy w celi. Jakieś rycie beretu czy coś? Ale mijały kolejne dni, a spokój nie znikał.

Jakiś czas później dowiedziałem się, że nie dostanę pracy, o którą dłużej starałem, bo ktoś doniósł, że jaram zioło. Normalnie bym się wkurzył na maksa – tym razem dziwnie spokojnie to przyjąłem. No luz, bywa. Nawet nie zauważyłem, kiedy coraz mniej zacząłem grać w karty i kości, wolałem siadać do książki – tak nazywałem Biblię.

Dużo myślałem. Książka niesamowicie pobudzała mnie do przemyśleń. Po jakimś czasie zacząłem analizować dosłownie każde słowo. Były zupełnie różne od wszystkich, które dotąd znałem. Zastanawiałem się też nad rzeczami, które robił Jezus. Nad tym, z jaką siłą przemawiał i jak bardzo był pewny tego, co mówił. „Czy to może być prawda?” – To zdanie wierciło mi dziurę w głowie i w sercu. Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się nad tym, ale teraz nie mogłem uwolnić się od tego pytania. Równocześnie ciągle coś przeszkadzało mi

w skupieniu się nad książką. Słyszałem głos, że to przecież bez sensu, że tracę tylko czas.

Długo wstydziłem się pokazywać z książką publicznie. Słyszałem szept i nabijanie, że wariat, że pewnie konfident (osoby wierzące postrzegano jako te, co zawsze mówią prawdę, czyli na pewno będą sypać, jak ktoś zapyta), ale nie ruszało mnie to za bardzo.

*Miłuj bliźniego swego, jak siebie samego.*

Te słowa zatrzymały mnie na dłużej. „Czy ja siebie lubię?” – Chyba pierwszy raz w życiu zadałem sobie to pytanie... No, raczej za sobą nie przepadałem. Kłamca, złodziej, facet, który zawiódł rodzinę. Wiedziałem, że otwieram w tym momencie drzwi, które miały mnie zaprowadzić do zupełnie nieznanego mi rejonów myślenia o sobie.

Zacząłem czytać po kilka godzin dziennie. Dzień w dzień. Czasem jedno zdanie. Analiza. Przemyślenia. Jedno słowo. Analiza. Jeden fragment. Analiza. Kolejne drzwi. I kolejne. Tu za wcześniej. Wracałem. Tu zabolalo – opuszczałem. Ale potem wracałem. Dotykałem, słuchałem. Czytałem, zaczytywałem, chłonałem te maleńkie literki tak łapczywie, że naprawdę musiałem w oczach innych wyglądać na oszołoma.

– No stary, do zakonu się wybierasz po więzieniu? Z jednego więzienia do drugiego?

– Ty, on kaznodzieją będzie, może po pudłach będzie jeździł i nauczał, jak wyjdzie? – Takie teksty były na porządku dziennym. Ale to nie miało znaczenia.

Po przeczytanych fragmentach Biblii lubiłem leżeć na łóżku i analizować, rozmyślać, wyobrażać sobie wszystko, o czym czytałem. Nigdy w życiu nie schodziłem tak głęboko do



własnego serca. Działo się coś, czego nie rozumiałem, ale co fascynowało mnie coraz bardziej.

Zacząłem poznawać siebie. Szukać, co mnie boli i głośno wołać, że chcę się zmienić. Do tej pory zawsze stawiałem tylko na siebie, ewentualnie na kumpli. W efekcie byłem w trakcie drugiej odsiadki w pudle... Dużo czytałem o uzdrowieniach, jakie czynił Jezus. Przez długi czas wertowałem Ewangelię św. Mateusza, rozdział ósmy, w którym jest dużo na ten temat. Moją uwagę przyciągnęło dwóch gości, którzy szli za Jezusem i darli głośno gęby. Jezus zadał im bardzo dobre pytanie, czy wierzą w to, że On może ich uzdrowić. Czułem, jakbym był jednym z nich i jakby sam Jezus czekał na moją odpowiedź...

Wyobrażałem sobie, że stoję na skraju wielkiej przepaści i przede mną jest tylko pustka. Nic poza tym. Tak widziałem swoje serce. Ja już naprawdę miałem dość takiego życia... Głośno wołałem do Jezusa, czy mogę się zmienić, ale za każdym razem coraz mocniej docierało do mnie, że pytanie powinno brzmieć: „Czy chcę się zmienić?”. I wtedy odpowiedziałem, że tak, chcę się zmienić, na sto procent. Kiedy tylko to wypowiedziałem, zawahałem się. Sto procent to dużo, to wszystko. Ja swoje stare życie dobrze znałem i choć było beznadziejne, to było mi znane. Natomiast za zmianą WSZYSTKIEGO kryła się wielka niewiadoma, której się bałem. Lecz chęć zmiany okazała się silniejsza. Chciałem normalnego życia.

Wyobrażałem sobie, że tkwię w ciemnym pokoju. W oddali widniał zarys małego okienka, z którego sączyło się światło. Widziałem w nim moją siostrę, jak uśmiecha się do mnie i macha na pożegnanie. Ale równocześnie czułem zgniliznę

i okropny smród. Wtedy w drzwiach pojawiał się Jezus. Wchodził do środka i mówił:

– Chodź, pokażę ci normalne życie. Wyjdź z ciemności.

– Cholernie się boję – mówiłem. – Tę ciemność znam, wiem, jak się w niej poruszać.

– Zaufaj mi – odpowiadał.

Wiedziałem, że widzę tylko początek czegoś, co z pewnością będzie straszliwie trudne. Ale te słowa brzmiały tak zachęcająco... Uśmiechałem się do nich. I próbowałem sobie wyobrazić, co jest w kolejnych krokach tego życia. To było ciekawe, bo w wyobraźni widziałem wtedy siebie innego, lepszego, normalnego. Wracałem do tych myśli coraz częściej, były niesamowicie przyjemne i pomagały mi uciekać od więziennej rzeczywistości.

Któregoś dnia położyłem się z tymi myślami na koju i, patrząc w łóżko kolegi nade mną, zacząłem gadać w myślach z Jezusem:

– Jeżeli jesteś prawdziwy, czy mogę zostać Twoim przyjacielem? – To pytanie po prostu wylało się z mojego serca.

„A czy na pewno chcesz?” – usłyszałem.

Nie wiem, czy to był wytwór mojej głowy, wyobraźni, czy też Ktoś faktycznie to powiedział, ale usłyszałem to pytanie bardzo wyraźnie.

Przeleciały mi przez głowę wszystkie rzeczy, z którymi pewnie powinienem się rozstać (narkotyki, zazdrość, nieczystość, gniew, przekleństwa, złodziejstwo, podejrzliwość, lenistwo i wiele, wiele innych), jeżeli miałbym zostać prawdziwym przyjacielem Jezusa. Było tego tyle, że obdzieliłbym tym kilku chłopów, i było to cholernie trudne. Ale wtedy,

jakby w odpowiedzi na te myśli, usłyszałem: „Nie bój się, nie będziesz sam...”.

Czytałem dalej. Trafiłem na fragment o paralityku, którego przynieśli do Jezusa, aby go uzdrowił. Byłem pod wrażeniem. Sparaliżowany gość normalnie wstał! Wciąż wracało do mnie pytanie: „Czy to jest prawda? Czy to może być prawda? Brzmi niewiarygodnie...”. I tego dnia dotarło do mnie, że skoro Jezus robił takie rzeczy dla innych, to w sumie uzdrowienie mnie z moich nałogów to raczej pikuś, co nie?

Nie wiedziałem, jak się modlić i czym w ogóle jest modlitwa, ale zacząłem gadać z Jezusem tak, jak gadałem z kumplami z celi. Ciągłe powtarzałem: „Jezu, wiem, że jesteś kozak, skoro z takich rzeczy uzdrawiasz, ale ja też mam cały bagażnik problemów z ciemnej wycieczki. Pomożesz mi go rozpakować?”. Mówiłem o paleniu fajek, że mnie to męczy i że klnę jak szewc. (Nie mam pojęcia, dlaczego nagle zaczęło mi to przeszkadzać).

Pomyślałem sobie, że dam na razie dwie rzeczy. Żeby nie przesadzać. Zacząłem się modlić: „Ojcze nasz” i jeszcze więcej czytać o uzdrowieniach, zwłaszcza o przywracaniu wzroku niewidomym. „Ja też chcę przejrzeć!” – myślałem.

Przez parę tygodni nic się nie zmieniało, ale któregoś dnia zauważyłem, że coraz mniej przeklinam, że właściwie już w ogóle nie wyzywam kolegów i innych ludzi, mniej agresywnie reaguję na uszczypliwe teksty klawiszy. To może zabrzmiać banalnie, ale jeśli przez całe życie używało się jakiegoś języka, dorastało wśród wyzwisk w domu, szkole, na ulicy, myślało się tym językiem, oddychało, nie znało się innego języka – zmiana sposobu mówienia jest prawdziwą rewolucją! To jak zaczynać od nowa.

*Na początku było Słowo...*

Czułem się tak, jakby każdy wulgaryzm stawał się ciosem zadany mojemu Przyjacielowi. To przekonało mnie całkowicie. Przekleństwa powoli, ale płynnie zamieniły się w inne słowa. Więzienny kwiecisty język zaczął mi przeszkadzać i coraz bardziej drażnić. Upomniałem kolegów, aby oszczędzali gęby przy mnie, na co zawsze reagowali totalnym zaskoczeniem: „Odbiło mu?”.

Potem przyszła kolej na szlugi. Rzucałem już wiele razy i wytrzymałem najdłużej jeden miesiąc, ale tym razem poprosiłem o pomoc. Pierwszego dnia była mocna walka, nie mogłem sobie nigdzie miejsca znaleźć. Dla uspokojenia sięgnąłem po Biblię. Tak się wkręciłem, że nawet nie zauważyłem, kiedy minął cały dzień. Do tego podczas czytania natrafiałem na konkretne wskazówki odnoszące się do moich problemów.

Odstawiłem kawę (wiadomo, kawa to i papieros) i czytałem Słowo za każdym razem, kiedy tylko chciało mi się jarać. Dołożyłem do dziennej porcji drugą serię ćwiczeń, ratowałem się też cukierkami. Dużo rozmawiałem sam ze sobą, zwłaszcza jak było ciężko: „Dla kogo ja to robię?”, „Po co rzucam palenie?”, „Czy faktycznie tego potrzebuję?”. I słuchałem swoich odpowiedzi: „Dla siebie, bo nie jestem wolny, bo nie dokonuję swoich wyborów, a kiedy ktoś mnie częstuje papierosem, to mam przymus rewanzu”. Chciałem być od tego wolny. Mijały tygodnie, a ja... nie paliłem. Nie palę do dziś.

Któregoś dnia po wieczornym apelu zobaczyłem zbiorowisko pod oknem przy łóżku. Wiedziałem, co się szykuje. Na celę wjechał towar.

Ktoś mnie zawołał. Coś podpowiadało mi, żebym odpuścił, ale nałóg był silniejszy. Poleciałem jak głodny na chleb. Trzymałem w ręce lufę i zapalniczkę, żeby odpalić, kiedy nagle, w jednym momencie, coś we mnie trafiło jak grom z jasnego nieba. W dziwny sposób poczułem smutek mojego Przyjaciela tak silny, że aż mnie ciarki przeszły. W sekundzie rzuciłem lufę na ziemię, uciekłem do łóżka i nakryłem się kocem. Nie ruszałem się spod koca, w myślach przepraszając Przyjaciela za to, co chciałem robić. „Proszę, zabierz to ode mnie” – mówiłem i czułem, że nie jestem sam. Kiedy zasypiałem, słyszałem słowa kolegów: „Ale mu odwaliło. Brał coś wcześniej? Dawał mu ktoś jakieś leki? Grzechu, nie świruj, tylko wracaj”. Zasnąłem z głową pod kocem.

Obudził mnie dzwonek przygotowawczy na apel. Widziałem miny kolegów, uważnie mnie obserwowali.

– Co ci odj\*\*\*\*\* wczoraj? Uciekłeś jak porażony prądem. Chodź, zajaramy przepał, bo towar był konkretny.

I wtedy nagle poczułem wielki spokój.

– Nie, nie chcę jarać.

To było moje pierwsze świadome i trzeźwe „nie” w życiu. Kolega patrzył na mnie szczerze zdziwiony, zupełnie zbity z tropu. Tamtego dnia zakończyłem mój koszmarny romans z narkotykami. Nigdy do siebie nie wróciliśmy.

Byłem w trakcie czytania Biblii, kiedy usłyszałem klawisza:

– Wychodzimy, kipisz. Zobaczmy, co tam macie.

Odłożyłem otwartą książkę na łóżko i, wychodząc z celi, powiedziałem z uśmiechem: „Dzień dobry”. (Wcześniej zawsze wściekałem się na kontrolę celi. Z czasem zrozumiałem,

że to bez sensu. Po prostu wykonywali swoją pracę. Później podczas kipsiszu już się nie rzucałem, a nawet czasem żartowałem, mówiąc do klawisza: „Dzięki za kipisz, inaczej bym tej skarpetki nie znalazł”. Niektórych to wkurzało, ale dzięki takiemu podejściu czułem się coraz bardziej wolny).

Zamknęli nas na świetlicy, gdzie oglądaliśmy szkiełko. Po jakichś trzydziestu minutach przyszedł klawisz i zaprowadził nas z powrotem pod cele. Standardowo, całe pomieszczenie wyglądało jak po przejściu tornada. Całe, z wyjątkiem... mojego łóżka. Wszystkie moje rzeczy wybebeszyli, ale łóżka nie tknęli. Pismo Święte leżało na nim tak, jak je zostawiłem, otwarte na tej samej stronie.

Kumpel rzucił:

– Ty, to nie jest normalne, że łóżka ci nie tknęli.

– Bo to nie jest normalna książka. – Wskazałem na Biblię na łóżku. Sam byłem jednak mocno zaskoczony. Przyszło mi nawet do głowy, żeby robić tak częściej, ale zreflektowałem się, że to przecież nie będzie w porządku.

Doszedłem do opisu męki Pańskiej. Nie mogłem uwierzyć w to, co czytałem. Zupełnie się nie spodziewałem, że będą się tak strasznie znęcać nad Jezusem. Biczowali go, ponizali. Za co? Przecież On niczego złego nie zrobił. NICZEGO! Wszystkim pomagał, wszystkich uzdrawiał, wskrzeszał. Dlaczego chcieli Go zabić??? Nie byłem w stanie tego zrozumieć, kiedy to czytałem, traciłem oddech z wrażenia... Po tym wszystkim dali mu do niesienia krzyż, człowiekowi zakatowanymu prawie na śmierć! Wiele razy byłem bity i katowany, ale to, co spotkało Jego, to była prawdziwa rzeź.

Długo nie mogłem dojść do siebie. Nie rozumiałem, dlaczego tak się stało? Trafiłem na *Pasję* Gibsona w telewizji. Chciałem zobaczyć, jak ktoś pokazał na ekranie to, o czym czytam. Zasiadłem z kumplami przed telewizorem i totalnie mną wstrząsnęło, kiedy patrzyłem na sceny przemocy – biczowania, a potem ukrzyżowania. Miałem łzy w oczach, których nie umiałem ukryć nawet przed kumplami. Mówiłem do nich, że zupełnie nie łąpię, dlaczego Go zabili. Przecież robił dobrze? Pomagał, więc dlaczego? Kumpel rzucił: „Był niewygodny i dlatego. Prawda kole w oczy”. Nawet dla nich to, co stało się stało z Jezusem, było nie do przyjęcia, ponieważ „po naszymu” był w porządku...

Czytałem dalej i coraz bardziej nie dowierzałem... To nie mógł być normalny człowiek, skoro twierdził, że zrobił to dla innych ludzi. Czy można aż tak bardzo kochać ludzi? Co za człowiek tak robi? Czy Jezus zrobił to dla wszystkich? Nawet dla tych najgorszych, tych nic nie wartych? Nawet... dla mnie?

Wtedy zdałem sobie sprawę, że ukrzyżowano Go z dwoma bandziorami... Takimi jak ja. W godzinę swojej śmierci miał przy sobie tylko bandziorów.

*Ojczy, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.*

To było coś nieprawdopodobnego! Kto normalny tak robi? Wybacz swojemu mordercom, całkowicie niewinny wybacz mordercom? Umarł dla innych, za prawdę i miłość. W życiu czegoś takiego nie widziałem! Przypomniały mi się słowa babci, która mówiła, że Bóg za dobre wynagradza, a za złe karze, ale ten obraz karcącego Boga w ogóle mi nie pasował... Przecież na krzyżu powiedział: „Ojczy, przebacz im”, a nie:

„Ojczy, rozwal ich!”. Zrozumiałem nagle, że On im współczuł! Współczuł im tego zapatrzenia w siebie.

Zacząłem coraz częściej zastanawiać się nad tym, że Jezus jest Bogiem. W miarę jak Go poznawałem, docierało do mnie, że On był ze mną, kiedy byłem zły, tylko ja byłem głuchy – za bardzo zapatrzony w siebie i pieniądze. Kiedy analizowałem swoją przeszłość, zobaczyłem, że wiele razy uratował mi życie. Takiego Przyjaciela zawsze chciałem mieć!... Właśnie takiego!

I wtedy rozwaliło mnie! Rozwaliło mnie! Łzy same napłynęły mi do oczu. Zrozumiałem, że ON TO ZROBIŁ DLA MNIE. Nie wiem, jak to do mnie dotarło, ale ta myśl jak błysk pojawiła się równocześnie w głowie i w sercu – i... była niezaprzeczalna. Niepodważalna. Wszecmogarniająca.

Jeśli coś w moim życiu do tej pory było prawdą, to właśnie to. Po prostu zrozumiałem to w tym momencie. Nie umiałem jeszcze wtedy ogarnąć wszystkich konsekwencji tego, co się działo, ale wiedziałem, że moje życie już NIGDY nie będzie takie, jak wcześniej.



Któregoś dnia pracowałem z kolegą przy remontach cel. Wybiła dwunasta, więc jak zawsze (to znaczy od jakiegoś już czasu) ukląknę, żeby odmówić Anioł Pański. Typ zaczął się ze mnie straszliwie nabijać, a co gorsza, nadawać na Jezusa. Ponieważ coraz bliżej kumplowałem się z Jezusem i dochodziło do mnie, że to wszystko to NAPRAWDĘ nie jest ściemą, próbowałem go uspokoić, ale nie słuchał i dalej gadał swoje jak zahipnotyzowany.



Wkurzyłem się konkretnie:

– Gościu, zamknij mordę i nie gadaj głupot, bo ci p\*\*\*\*\*! Może się nawracam, zaczynam wierzyć w Boga i pracuję nad tym, żeby się zmienić, ale wk\*\*\*\*\* mnie, jak ubliżasz mojemu Przyjacielowi, więc przestań, bo nie wytrzymam.

Oprzytomniał trochę i po chwili wzruszył ramionami:

– O co tyle krzyku, przecież on nie żyje...

– Jedno jest pewne. On żyje, bo jeszcze masz cały nos – odpowiedziałem już spokojniej. – A ja wierzę w słowa, które wypowiedział: „Miłuj bliźniego swego, jak siebie samego”. A skoro mówisz, że On nie żyje, to nie wiesz wszystkiego... – I zacząłem mu opowiadać o zmartwychwstaniu.

Tak rozpoczął się rozdział mojego więziennego życia pt. *Wolny za kratami*, gdzie nauczałem swoich braci i zaczynałem rozumieć, o co tak naprawdę chodzi w tym całym życiu...

## Spis treści:

<b>Wstęp</b>	7
<b>Słownik</b>	10
<b>I 5 minut</b>	13
<b>II Niewypał</b>	19
<b>III Bezpański pies</b>	30
<b>IV Romans wszech czasów</b>	44
<b>V Mama</b>	62
<b>VI Ciemność</b>	78
<b>VII Rutyna</b>	90
<b>VIII Przyjaciół</b>	98
<b>IX Wolny za kratami</b>	118
<b>X 77</b>	137
<b>XI Życie cię zweryfikuje...</b>	152
<b>XII 365 dni</b>	159
<b>XIII Mam nadzieję, że pomogła...</b>	179
<b>XIV Ona</b>	184
<b>XV Przypadek</b>	200
<b>XVI Jasność</b>	215
<b>XVII Niebo</b>	238
<b>Na fotografiach</b>	239
<b>Oczami innych</b>	257

**A Ty?**  
**Co tak naprawdę**  
**kochasz?**

**ODKRYJ SWOJE POWOŁANIE**

**WWW.RTCK.PL**

## Każdy święty ma swoją przeszłość, każdy grzesznik ma swoją przyszłość. . .

Policjant patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– To pani syn? – zwrócił się do kobiety.

– Nie mam żadnego syna – wymamrotała, ledwo przytomna.

Na chwilę wszyscy znieruchomieli, zbici z tropu.

– To jak to jest... – Na serio zaskoczony policjant patrzył to na mnie, to na kobietę.

– To moja mama – powtórzyłem.

Wzięłem głęboki wdech i zwróciłem się do niej:

– Mamo, to ja Grzesiek.

– Grzesiek? Hmm. – Sprawiała wrażenie nieobecnej.

– Niech pan wejdzie, ale sam – zaproponował policjant.

Po kilku minutach z mieszkania wyszedł jeden policjant. Renia zapytała go, co się w ogóle stało, że przyjechali. Wyjaśniła mu też okoliczności naszej wizyty w tym miejscu.

Policjant słuchał szczerze zaciekawiony. W końcu w milczeniu wyciągnął papierosa i powoli odpalił.

– K\*\*\*\*. – Zaciągnął się. – Normalnie jak w jakimś filmie...

*Nie jesteś Skazany* to opowieść o człowieku, który spędził **12 lat za kratami**. Stracił siostrę... Zapomniała o nim matka. Gdy był na dnie, w celi poznał Przyjaciela, dzięki któremu jego życie się odmieniło.

Dziś, już po kilku latach spędzonych na wolności, opisuje swoją drogę **wychodzenia z ciemności do światła**, pokazując, że gdy postawisz wszystko na jedną kartę, możesz dokonać rzeczy po ludzku niemożliwych!

**Przeczytaj tę historię, zanim zainteresują się nią filmowcy.**

cena: 34,90 zł

**RTCK**<sup>®</sup>  
RÓB TO CO KOCHASZ

KSIĄŻKI,  
AUDIOKONFERENCJE,  
KONFERENCJE NA ŻYWO

WWW.RTCK.PL

ISBN 978-83-66523-18-0



9 788366 523180 >